



CO SŁYCHAĆ?

Informator Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – wrzesień 2011

Bieszczadzkie impresje

22 sierpnia 2011 roku pełna zapału i żądna wrażeń kilkunastoosobowa grupa Piechurów PTT z Chrzanowa, wyruszyła aby przemierzyć Główny Szlak Beskidzki w Bieszczadach i Beskidzie Niskim.

Remigiusz Lichota

Pierwszego dnia zaplanowaliśmy kilkunastokilometrową rozgrzewkę w paśmie granicznym, przez które nie przebiega GSB, jednak będąc w Bieszczadach nie sposób było opuścić wejścia na Wielką Rawkę i Krzemieniec.

Wędrówkę rozpoczęliśmy zielonym szlakiem z Przełęczy Wyzniańskiej, która łączy Połoninę Caryńską z Małą Rawką. Po półgodzinnym marszu dotarliśmy do bacówki PTTK pod Małą Rawką będącej jedną z dwóch bacówek w Bieszczadach. Druga z nich znajduje się pod Honem i planujemy dotrzeć do niej piątego dnia. Obiekty te wybudowano w latach

70-tych XX wieku z inicjatywy Edwarda Moskały będącego propagatorem turystyki kwalifikowanej, tzn. takiej jak nasza – plecakowej. Schroniska te są bardzo klimatyczne – niewielkie, drewniane budynki doskonale wtapiają się w piękny krajobraz bieszczadzki. Po krótkim odpoczynku i pamiątkowym zdjęciu podążyliśmy w kierunku Małej Rawki, którą zdobyliśmy po godzinnym podejściu. Na szczycie oczom naszym ukazały się bieszczadzkie połoniny oczarowujące gamą jesiennych barw. Kilkanaście minut później doszliśmy

na Wielką Rawkę, która jest jedynym szczytem przekraczającym 1300 m poza Gniazdem Tarnicy w Bieszczadach. Usytuowana jest tam betonowa wieża triangulacyjna służąca w dawnych czasach kartografom do tworzenia map. Kolejnym celem stał się Krzemieniec – trójstyk granic trzech państw: Polski, Ukrainy i Słowacji. Spotkaliśmy tam żołnierzy polskiej straży granicznej, którzy przypomnieli nam, aby nie przekroczyć granicy z Ukrainą, gdyż mogłyby wyniknąć z tego nieprzyjemne konsekwencje. Pierwszy dzień naszej wędrówki zakończyliśmy schodząc niebieskim szlakiem do Ustrzyk Górnych skąd udaliśmy się do miejsca zakwaterowania w Wetlinie na Piotrowej Polanie „U Niedźwiedzia”, gdzie roztokowaliśmy się w dwuosobowych domkach campingowych.

Kolejny dzień przywitał nas słońcem, które pozytywnie wpłynęło na uczestników wycieczki mających w perspektywie zaczęcie Głównego Szlaku Beskidzkiego w Wołosatem. Początek szlaku jest bardzo monotony, prawie dwie i pół godziny maszerowaliśmy bitą drogą aż do Przełęczy Bukowskiej, gdzie znajduje się drewniany schron, przy którym ►



zrobiliśmy krótki postój. Z przełęczy wyruszyliśmy przez Rozsypaniec w stronę Halicza, który jest trzecim co do wysokości szczytem Bieszczad, a liczy 1333 m n.p.m. Znajduje się tam metalowy krzyż i trójnóg triangulacyjny. Z Halicza roztaczał się widok na Bieszczady Wschodnie leżące po stronie Ukrainy i na ich najwyższy szczyt- Pikuj, liczący 1408 m n.p.m. oraz na dolinę Sanu. Podążając dalej przez Kopę Bukowską i Krzemień doszliśmy do Przełęczy Goprowców, gdzie jeszcze 3 lata temu w okresie wakacji istniała sezonowa baza GOPR-u. W znajdującym się tam źródle uzupełniliśmy zapasy wody i ruszyliśmy na Przełęcz Siodło, skąd wychodząc żółtym szlakiem dotarliśmy na najwyższy szczyt Bieszczad – Tarnicę, liczącą 1346 m n.p.m. Nazwa ta jest pochodzenia rumuńskiego i oznacza tyle, co siodło. Pierwotnie odnosiła się do przełęczy pod Tarnicą, która oglądana z Wołosatego istotnie przypomina sylwetką siodło. Krzyż usytuowany na szczycie upamiętnia Drugie Tysiąclecie i pontyfikat Jana Pawła II. Nasze kroki skierowaliśmy powrotnie na Przełęcz Siodło, skąd przez Tarniczkę i Szeroki Wierch zeszliliśmy do Ustrzyk Górnych, a następnie udaliśmy się do miejsca zakwaterowania.

Trzeciego dnia wyruszyliśmy z zamiarem przejścia dwóch połonin: Caryńskiej i Wetlińskiej. Dzień był równie upalny jak poprzednie. Przez półtorej godziny szliśmy pięknym, bukowym lasem dolnego regła, który ochraniał nas przed żarem lejącym się z nieba. Wychodząc na Połoninę Caryńską poczuliśmy powiew południowego wiatru, niosący ze sobą zapach traw i ziół nagrzanym słońcem. Na jej najwyższym wierzchołku mierzącym 1297 m n.p.m. zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie i podążyliśmy na Przełęcz Brzegi Górne, gdzie niegdyś umiejscowiona była cerkiew, która spłonęła podczas akcji „Wisła” w 1946 roku. Zachowało się jedynie kilka nagrobków ze znajdującego się tam niegdyś cmentarza. Po zakupie prowiantu w pobliskim sklepiku podążyliśmy w kierunku Połoniny Wetlińskiej, gdzie po dwóch godzinach marszu odpoczęliśmy przy schronisku „Chatka Puchatka” pod Hasiakową Skatą, skąd roztaczała się panorama dookólna. Po wbiciu pieczętek w książeczki GSB wy-

ruszyliśmy w czterogodzinny marsz przez Przełęcz Srebrzystą oddzielającą najwyższy szczyt Połoniny Wetlińskiej – Roch (1255 m n.p.m.) od Osadzkiego Wierchu (1253 m n.p.m.). Stamtąd przez Przełęcz Mieczysława Orłowicza dotarliśmy na Smerek (1222 m n.p.m.), który góruje nad Wetliną. Po półtorej godziny marszu dotarliśmy do miejscowości o tej samej nazwie – Smerek, skąd pojechaliśmy do naszej bazy noclegowej.

Kolejnego dnia wyruszyliśmy ze Smereka Doliną Niedźwiedziego Potoku. Po kilkunastu minutach dotarliśmy do miejsca, w którym do 18 marca 1946 roku stała cerkiew wraz z otaczającym ją cmentarzem, jednak po wysiedleniu mieszkańców na tereny dzisiejszej Ukrainy wszystko zostało spalone. W 2008 roku mieszkańcy wsi uporządkowali miejsce po byłym cmentarzu i postawili przy nim krzyż oraz tablicę informującą o minionych wydarzeniach. Po przekroczeniu torowiska dawnej kolejki wąskotorowej zaczęliśmy ostre podejście pod Fereczatą (1102 m n.p.m.), z której roztaczała się wspaniała panorama na pasmo graniczne. Po kolejnej godzinie marszu zdobyliśmy Okrąglik będący szczytem granicznym, na którym rozgałęziają się trzy szlaki. Zrobiliśmy tam kilka zdjęć istniejącym jeszcze fortyfikacjom ziemnym z okresu I wojny światowej. Kolejnym celem na naszej trasie było Jasło – najwyższy szczyt w dniu dzisiejszym – 1153 m n.p.m. Ma on wylesioną partię szczytową, dzięki czemu można zachwycać się widokami otaczających go pasm górskich. Stamtąd pozostało nam długie zejście do Cisnej, gdzie wstąpiliśmy do najoryginalniejszej karczmy w Bieszczadach – „Siekierzady”, której nazwa wzięła się od powbijanych w stoły siekier. Jej wnętrze zdobią wspaniałe rzeźby, samochody wojskowe i militaria z II wojny światowej oraz poroża zwierząt wkomponowane w klimat miejsca. W dniu dzisiejszym dołączyła też do nas koleżanka z Chrzanowa – Marysia, która od tej pory będzie wędrować wraz z naszą grupą przez bieszczadzkie szlaki. W związku z tym, że dzisiejsza trasa liczyła jedynie 16 km, postanowiliśmy zorganizować ognisko z pieczeniem kiełbasek, aby się wzmocnić przed jutrzejszym, najdłuższym zaplanowanym fragmentem GSB. Podczas zabawy nie zabrakło również czegoś słodkiego, gdyż nasza nowa kompanka przywiozła ze sobą przepyszny jabłecznik, który spałaszowaliśmy z ogromną ochotą.

Piątego dnia czekało nas 30 km wędrowki Pasmem Wysokiego Działu. Jednak na szlak wybrało się tylko sześcioro spośród nas, natomiast pozostała część grupy postanowiła zwiedzić Komańczę i poleniuchować nad rzeką. Grupa piechurów wyruszyła z Cisnej gdzie na moment zatrzymaliśmy się w „Bacówce PTTK Pod Honem”, w której uzupełniliśmy pieczątki i dalej ruszyliśmy wzdłuż wyciągu orczykowego na szczyt. Temperatura otoczenia wynosiła powyżej 30°C, jednak większą część trasy przemierzaliśmy lasem niwelującym uczucie gorąca. Idąc przez Wołoszań, Jaworne, Przełęcz Żebrak i Chryszczatą napotykaliśmy okopy i groby żołnierzy poległych w czasie I wojny światowej. Na Jawornym mieliśmy miłą niespodziankę, gdyż spotkaliśmy kolegę Józefa Woźniaka z Sosnowca, który jest członkiem naszego Oddziału PTTK w Chrzanowie i na chwilę obecną wędruje w stronę Tarnicy, aby zamknąć drugą Koronę Gór. Kiedy doszliśmy przez Przełęcz Żebrak do Chryszczatej odpoczęliśmy przez chwilę przy betonowym obelisku triangulacyjnym. Teraz szlak wiódł nas w rejon Jezierek Duszatyńskich w Rezerwacie Zwieżło, które powstały w 1907 roku. Osuwisko Zwieżło jest największe w polskich Karpatach pod względem ilości przemieszczonego materiału (ok. 12 mln m³ ziemi i skał),



który zatarasował dolinę potoku Olchowego co spowodowało spiętrzenie się wody i powstanie trzech jeziorzek. W okresie międzywojennym z jednego z nich spuszczonego wodę i do chwili obecnej przetrwały tylko dwa. W 1957 roku Utworzono tutaj Rezerwat przyrody Zwierzko, który wziął po ochronę wspomniane jeziorzeczko. Po godzinie dotarliśmy do Duszatyna w dolinie Osławy, gdzie zatrzymaliśmy się na ciepły posiłek. Kolejne kilometry przemierzaliśmy bitą drogą aż do Preluk skąd przez małe wzniesienie górujące nad Komańczą dotarliśmy w dolinę Osławicy do nowego miejsca noclegowego, gdzie zakończył się nasz bieszczadzki odcinek GSB.

Szóstego dnia czekało nas również około 30 kilometrów marszu jednak tym razem w Beskidzie Niskim. Na początek zobaczyliśmy kilka miejsc upamiętniających pobyt kardynała Stefana Wyszyńskiego w czasie jego internowania w klasztorze sióstr Nazaretanek w okresie od 29 września 1955 roku do 26 września 1956 roku. Następnie wstąpiliśmy do schroniska PTTK gdzie wbiliśmy pieczętki i ruszyliśmy dalej w trasę. Wędrując przez Wahalowski Wierch dotarliśmy na Kamień, gdzie znajdują się ciekawe wychodnie skalne z gruboławicowego piaskowca. Na jednej ze skał wryto nożyce – znak ukrytych skarbów. Z Kamienia zeszliśmy do doliny Płonki, gdzie natrafiliśmy na pozostałości po dawnej miejscowości – Przybyszów. Były to dwa cmentarze z kilku nastoma nagrobkami i miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się cerkiew, która została spalona jak wiele innych w Beskidzie Niskim. Stamtąd zaczęliśmy czterokilometrowe podejście w Pasma Bukowicy pod Tokarnię, z której można podziwiać wspaniałe widoki na Pogórze Bukowskie. Po 15 kilometrach zeszliśmy do Puław w dolinie Wisłoka, gdzie czekał nas ośmiokilometrowy, męczący spacer asfaltem aż do Wisłoczka skąd pojechaliśmy na nocleg do Rymanowa Zdroju.

Ostatni dzień naszego pobytu w Beskidzie Niskim część osób zaczęła od porannej Mszy Świętej, po której pojechaliśmy do Wisłoczka gdzie znajduje się baza studencka SKPB Rzeszów, przez którą przechodzi GSB. Po wbiciu pieczętek i miłej pogawędce z „bazowymi” wyruszyliśmy przez Wierch Tarnawski w stronę Wołtuszowej, która została spalona w 1946 roku przez UPA. Stamtąd zeszliśmy do Rymanowa Zdroju i idąc Parkiem Zdrojowym przekroczyliśmy rzekę Tabor, za którą zaczęliśmy podchodzić pod Mogiłę i Suchą Górę, w rejonie której weszliśmy na teren, gdzie wydobywana była ropa naftowa i znajduje się kilka wież wydobywczych, tzw. kiwonów. Z Suchoj Góry podążyliśmy do Iwonicza Zdroju, gdzie szlak przebiega wzdłuż części uzdrowiskowej. O wabrach wód w Iwoniczu już w 1578 roku pisał Wojciech Oczko – nadworny lekarz króla Stefana Batorego. Centrum uzdrowiska stanowi efektowna grupa 22 budynków z XIX i początku XX wieku, m.in. Dom Zdrojowy, secesyjne Łazienki Mineralne stary pałac i pawilon nad źródłami Amelia i Karol. Po skosztowaniu leczniczej wody podążyliśmy przez Żabią Górę do Lubatowej, gdzie zakończyła się nasza tygodniowa wędrownia.

Bieszczady i Beskid Niski są wspaniałymi rejonami polskich Karpat, nieskażone przemysłem oraz mało zurbanizowane, zachęcają do wędrowek i przemysłów. Niektórymi szlakami można wędrować cały dzień nie spotykając na swej drodze żywej duszy. Takie samotne wędrownie jednocześnie nas z otaczającym światem roślin i zwierząt ukazując piękno, które tkwi w złożoności przyrody. Uczestnicy naszej wycieczki na pewno nie zapomną widoku połonin, bieszczadzkich zachodów słońca, rozgwieżdżonego nieba oraz przyjaznej atmosfery, która dodawała otuchy w chwilach zmęczenia. Za rok chcemy wrócić w te magiczne strony.

**Zachęcamy do zdobywania
nowych odznak krajoznawczo-
turystycznych PTT**



**GŁÓWNY SZLAK BESKIDZKI
i MAŁY SZLAK BESKIDZKI**



Mołdawia – biedna, lecz piękna

Jeśli uważacie, że polskie drogi są tragiczne – nie jedźcie na Ukrainę, lecz jeśli już pojedziecie i stwierdzicie, że tamtejsze drogi są beznadziejne, nie wjeżdżajcie do Mołdawii...

Szymon Baron

Fatalne prognozy pogody nad całą zachodnią Europą eliminowały w założeniu od dawną planowany wyjazd w Alpy. Wzięliśmy w ręce mapy, przeanalizowaliśmy kto gdzie był i jedyną białą plamą dla naszej czteroosobowej ekipy w promieniu tysiąca kilometrów od Bielska-Białej, do której dodatkowo nie potrzeba wizy była Mołdawia – w dodatku pogoda miała być w tamtej części naszego kontynentu całkiem niezła.

Z Polski wyjechaliśmy przez przejście w Korczowej. Od razu za ukraińską granicą natknęliśmy się na dziury w drodze i nieoznaczone „hopki”. Przejazd do Lwowa zajął nam więcej czasu, niż zakładaliśmy. Zdaliśmy się na GPS i zamiast obwodnicą, wjechaliśmy do centrum tego miasta. Chociaż do EURO 2012 pozostało niewiele ponad rok, drogi w dalszym ciągu pokryte są tam nierównym brukiem, ponad który gdzieś wystają na dziesięć centymetrów szyny tramwajowe. Na pewno nie jest odpowiednia nawierzchnia dla samochodów osobowych, chyba, że ich zawieszenie jest sporo podniesione – tak, jak w większości samochodów na wschodzie...



Ojcowie komunizmu w Bielkach

udaliśmy się do bliskiego Chocimia, gdzie oprócz zwiedzenia zamku, mieliśmy okazję popływać u jego stóp w wolno płynących wodach Dniestru.

Wjazd do Mołdawii wiąże się z obowiązkową opłatą w wysokości 50 lei, czyli około 12 zł, co nie jest wygórowaną kwotą. Niestety, niemal od razu po przekroczeniu granicy można odczuć pogorszenie nawierzchni dróg. Z naszych obserwacji wysnuliśmy teorię, że drogi krajowe, oznaczone na mapach kolorem czerwonym są drogami asfaltowymi, z reguły załatanymi, do których stanu nie można się zbytnio przyczepić.



Łuk triumfalny i Cerkiew Narodzenia Pańskiego w Kiszyniowie

W dalszym ciągu zdawaliśmy się na GPS i zamiast w planowanych Czerniowcach, wylądowaliśmy w Kamieńcu Podolskim, co skwapliwie wykorzystaliśmy zwiedzając miejscowy zamek, po czym

Drogi „złote” są asfaltowe, bądź szutrowe, zazwyczaj okraszone wielką ilością dziur, na których asfalt równie szybko pojawia się, co znika... Z kolei drogi zaznaczone kolorem białym...

tutaj można być pewnym tylko dziur, bo droga albo jest, albo jej nie ma...

Pierwszym odwiedzionym przez nas miejscem w Mołdawii były Bielce, drugie co do wielkości miasto tego kraju, nie licząc Tyraspolu, położonego w separatystycznym Naddniestrzu. Miasto to nie jest zbyt duże, a my zdążyliśmy zobaczyć pomnik Stefana III Wielkiego, miejscowy teatr i park, spojrzeć w oczy spoglądającym na nas z pewnego budynku ojcom komunizmu – Marksowi, Engelsowi i Leninowi oraz sfotografować się z ustawionym jako pomnik czołgiem. Warto podkreślić, że znajduje się tu także Dom Polski, którego jednakże nie udało nam się odwiedzić.

Kolejnym punktem miał być Dealul Bălănești (430 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Mołdawii, położony jakby na to nie patrzeć niżej, niż mój dom w Polsce... tym niemniej stanowiący niemałe wyzwanie z uwagi na drogi dojazdowe... Moja biedna, wiekowa Skoda Felicia, której nie pozwoliłem pomknąć na biegu wyższym od „dwójki” jakimś sobie tylko wiadomym sposobem, bez straty zawieszenia, przy prawdopodobnie skrajnym wykorzystaniu amortyzatorów dowiozła nas do miejscowości Milești, z której planowaliśmy „atak szczytowy”... Nie mając pojęcia którą najlepiej iść, natknęliśmy się na Ninę Siergiejewą, mieszkającą w pobliżu wdowę, która obiecała zaprowadzić nas na szczyt, lecz wcześniej zaprosiła na małe co nieco. Mieliśmy okazję próbować miejscowego chleba, białego sera, bryndzy i oczywiście słynnego mołdawskiego wina z winogron. Nie omieszkaliśmy również nieco podszkolić się w języku mołdawskim. Po takiej uczcie, szczyt był już przysłowiową bułką z masłem.

Droga z Milești na Dealul Bălănești wiodła lasem, by tuż przed wierzchołkiem wyjść na pola uprawne. Sam szczyt był mało interesujący – znajduje się na nim antena telewizyjna i nic więcej.

Wracając mieliśmy za to okazję doświadczyć ulewnego deszczu, w którym ucierpiał nasze paszporty oraz wystrzałów rakietowych, którymi miejscowe wojsko prawdopodobnie próbowało od-



Kompleks archeologiczno-krajobrazowy Orchej Stary

straszyć nadciągającą nieuchronnie burzę.

Zadowoleni ze zdobycia najwyższego pagórka w Mołdawii przenieśliśmy się do stolicy – Kiszyniowa. Zaskoczeniem był dla nas niewielki, jak na piątkowe popołudnie, ruch samochodowy. Zobaczyliśmy tutaj budynek parlamentu, łuk triumfalny, Cerkiew Narodzenia Pańskiego z XVIII wieku, bulwar Stefana III Wielkiego wraz z jego pomnikiem oraz miejscowy park, w którym akurat odbywał się koncert organizowany przez Amnesty International.

Kierując się w stronę Orcheja Starego

przejechaliśmy obok słynnych winnic w Craicovej, po czym spędziliśmy nocleg w namiocie, gdzieś w polach kukurydzy... Niestety, tej nocy solidnie lało i nie byliśmy w stanie odkopać się z błota. Po raz kolejny mieliśmy dzięki temu okazję spotkać się z życzliwością miejscowych, a także dowiedzieć się, że w okolicy pełno jest zajęcy, lisów i wilków...

Przepięknie położony w przelomie rzeki Raut kompleks archeologiczno-krajobrazowy Orchej Stary wywarł na nas niesamowite wrażenie. Po zwiedzeniu ekspozycji muzealnej z przedmiotami znalezionymi w tym miejscu,

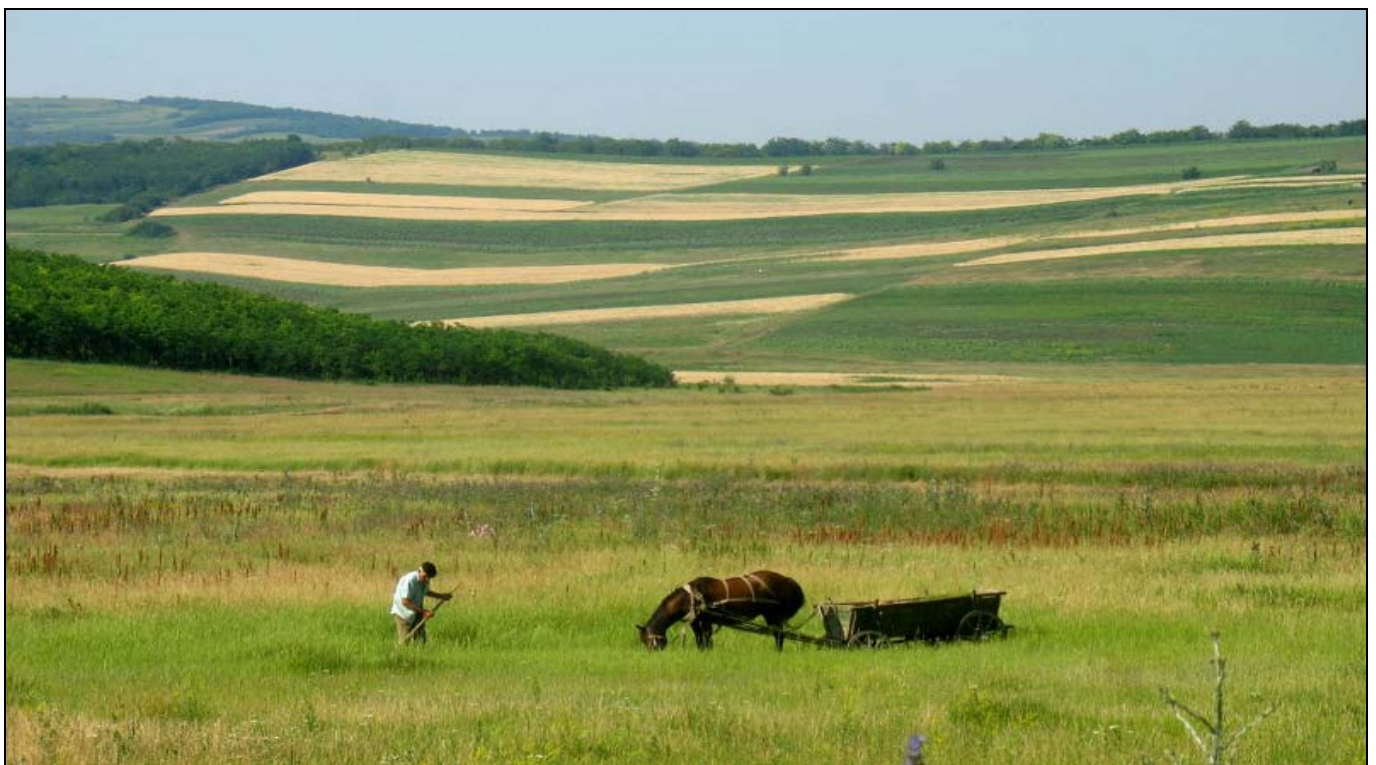
a datowanymi nawet na IV-III w. p.n.e., udaliśmy się na spacer tropem okolicznych zabytków – zobaczyliśmy starą dzwonnice, położony na wzgórzu monastyr i z powodu gwałtownego oberwania chmury odpuściliśmy obejrzenie jednego z najpiękniejszych zabytków Mołdawii – podziemnego monastyru.

Ostatnią odwiedzoną przez nas miejscowością w tym kraju były położone na granicy z Ukrainą, przy przepięknych meandrach Dniestru, Soroki. Zwiedziliśmy tu „świeczkę” – wieżę wzniesioną jako wotum w 2004 r., zamek, cerkiew, a także niesamowitą dzielnicę cygańską, położoną na górującym nad miastem wzgórzu. Można tu było zobaczyć piękne pałace cygańskie, kościół i cmentarz.

Podczas zwiedzania tej miejscowości okazało się, że nie przekroczyliśmy w niej granicy, bowiem promy, kursujące pomiędzy oboma brzegami są czynne tylko do późnego popołudnia i musimy udać się do odległej o 50 km miejscowości.

Przekraczając granicę mołdawsko-ukraińską i następnie ukraińsko-polską obawialiśmy się, czy nasze przemoczone paszporty nie zostaną zakwestionowane, lecz na szczęście udało nam się bez większych przygód wrócić do kraju.

Podsumowując wyjazd muszę podkreślić niesamowitą gościnność, ale i biedę Mołdawian, których kraj zgodnie z miejscową legendą jest biblijnym rajem... Na pewno ma w sobie coś z raju... Szczerze polecam!



U iwonickich i rymanowskich wód

Bartłomiej Grzegorz Sala

*W cieniu tych lasów, coś tam szemrząc słodko,
Dziś, jak przed wieki, witasz nas Bełkotko!*

W. Poł, *Pieśń o ziemi naszej*

Podobno nieszczęścia chodzą parami. Nie wiem jak jest z nieszczęściami, ale wiem że często parami chodzą uzdrowiska, których istnienie – o ile ktoś nie przehubał na dancingach zbyt dużych kwot – należałoby raczej uznać za wyraz szczęścia. Przykładem takiej pary mogą być choćby Ciechocinek i Inowrocław. Zwykle w tego typu duetach jeden kurort, bardziej znany i popularny, wyraźnie dominuje, drugi natomiast – niczym młodszy brat – dopełnia jego atrakcyjności i powiększa ofertę bywalcom. Tak jest w przypadku gwarne-ego Buska Zdroju i sekundującego mu, cichego Solca Zdroju. Tak jest z renomowanym Świeradowem Zdrojem i satelitarną Czerniawą czy zdeklasowaną przez Szczawno Zdrój Jedliną.

W Karpatach jednak „mały brat” posiadał często własne ambicje. Nadpopradzki Żegiestów początkowo gościł co prawda niejako „przy okazji” kuracjuszy z Krynicy, ale dzięki działaniom Ignacego i Karola Medweckich (oraz otrzymaniu w 1876 r. jako pierwsze polskie uzdrowisko linii kolejowej) wyrobił sobie z czasem taką renomę, że w okresie międzywojennym grunty na Łopacie Polskiej chciał kupować sam Jan Kiepura – legenda ojczyzny „Kryniczanki” i dość długo trwało, zanim żegiestowski kurort skapitułował przed „perłą polskich wód”.

Natomiast prawdziwie „partnerski układ” – używając tego tyleż popularnego, co prostackiego sformułowania – udało się stworzyć dwóm najśłynniejszym (wielkiej konkurencji zresztą nigdy nie było) uzdrowiskom Beskidu Niskiego – Iwoniczowi Zdrojowi i Rymanowowi Zdrojowi (Czytelnik będzie łaskaw wybaczyć mi powtarzalność nazwy „Zdrój”, ale wobec faktu, że „zwykły” Iwonicz i „zwykły” Rymanów są dziś odrębnymi miejscowościami, nie sposób używać formy skróconej). Oczywiście, uzdrowisko iwonickie jest większe i znacznie starsze – znał *Iwaniec* już Wojciech Oczko, nadworny lekarz króla Stefana I Batorego – ale jego pierwszeństwo w tym duecie to nie dominacja, a raczej sytuacja typu *primus inter pares*.

Znano Iwonicz dobrze w XVII stuleciu, a w dobie dzie-
więtnastowiecznej mody na „wywczasy u wód” został on „wskrzyszony” przez hrabiego Karola Załuskiego i rychło ściągnął w swoje gościnne progi towarzyską śmietankę obsługiwaną m.in. przez zdrojowego lekarza Józefa Poła, brata poety (zresztą i wspomniany już Jan Kiepura – w nieco późniejszym okresie - bywał nie tylko w Krynicy i Żegiestowie...). To wtedy kurort ozdobił klasycystyczny Dom Zdrojowy, słynny Bazar z sygnaturką, kaplica zdrojowa, pawilony nad zdrojami „Amelii”, „Karola” i „Józefa” oraz stylowe pensjonaty do dziś tworzące niezwykły nastrój beskidzkiego uzdrowiska. Niezwykle, płonące źródło „Bełkotki” opisywali poeci z Wincentym Połem na czele (*Zebrane utwory rymowane i poezja o Iwoniczu mogły by zapełnić niemały tom antologii „Wierszy iwonickich”* – stwierdzał znawca regionu Janusz Michałak), a po deptaku i zadbanych skwerach spacerowało eleganckie towarzystwo. Atmosfera tamtych lat utrwalona została na kartach opowieści Wincentego Poła *Nieźli są ludzie* oraz

w pamiętnikach Kazimierza Chłędowskiego czy Fryderyka Hoesicka. Romantyczny charakter kurortu nad Iwonicz Potokiem utrwaliła również dawna piosenka strzelecka, której melodię wygrywa kurant z zegarowej wieży:

*Iwonicz miasteczko, ładne położenie
Po nim się przechadza moje pocieszenie
Moje pocieszenie, to jest moja miła,
Która mnie przez lata w serduszkach nosiła...*

W drugiej połowie stulecia iwoniczemu uzdrowisku narodził się młodszy brat. Za sprawą hrabiego Stanisława Potockiego swój żywot ze sporym rozmachem rozpoczął Rymanów Zdrój, by już wkrótce gonić w sławie i popularności nobliwego sąsiada zza zielonych kopuł Mogiły i Suchej Góry. Na przełomie wieków piękne rozplanowanie, stylowa zabudowa pensjonatowa, dobra fama i wykwiłtne towarzystwo przechadzające się przy drewnianej pijalni wód stały się także jego udziałem. Młodemu kurortowi nie oparł się nawet Stanisław Wyspiański, wielbiący ten przepiękny zakątek wierszem *Hej, rymanowski las za mgłą*.

W cieniu modnych i gwarnych uzdrowisk toczyło się spokojne życie okolicznych, cichych wiosek. Spokojne i jakby uśpione, ale potrafiące w niejednym obrzędzie, w niejednym pradawnym rytuale, w niejednej pieśni i niejednym tańcu zaskoczyć swoją barwnością. Tym bardziej, że obok *rusnackich* górali – Łemków żył tu podkrośnieński szczep ludności polskiej, a wzajemne przenikanie się wpływów obu grup uatrakcyjniało świat starych rytuałów, obrzędów i nut. Szczególnie ciekawe wydają się być obrzędy i pieśni okresu bożonarodzeniowo-noworoczno-karnawałowego. Ciekawe chyba właśnie dla ludzi żyjących na co dzień w beznadziejnej „plastikowej” rzeczywistości, której nie oparł się nawet ten sympatyczny czas, zagrabiony przez kicz, sztandarowe dla dzisiejszej epoki bezguście i wszechogarniającą komercjalizację (nawet grasującego na początku grudnia świętego Mikołaja-biskupa zastąpił jakiś dobrze odżywiony świąteczny krasnal z reklamy „Coca-Coli!”). Ruszając szlakiem tradycji w podróż w czasie na dawną wieś tej części Beskidu Niskiego musimy jednak pamiętać, że tradycyjna kultura ludowa nie znała – oczywiście poza liturgią – jakiegoś wyraźnie oddzielnego „sezonu świątecznego”, ale cały cykl obrzędowości zimowej, który ograniczyliśmy tu do czasu Bożego Narodzenia i karnawału dość arbitralnie.

Adwent, jak to adwent – był spokojny, żeby nie powiedzieć smutny. Wszak *święta Katarzyna klucze pogubiła, święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypce zaraz*. Uważać trzeba było tylko na dzień świętej Łucji, kiedy to czarownice miały w zwyczaju hulać z diabłami.

Przed wigilijną wieczerzą pod płótnem-obrusem umieszczano zboże i siano, a dobrze było też ustawić słomę w kątach domu, aby pole rodziło w nadchodzącym roku obficie. Obyczaj ten znali i Polacy, i Łemkowie, chociaż ci drudzy słomę umieszczali w wielu miejscach podłogi. W rejonie Iwonicza i Rymanowa Zdroju pierwszym daniem spożywanej przy blasku świec wieczerzy były czosnek i cebula z chlebem. Później delektowano się kolejno kapustą z grochem, ziemniakami, kaszą ze śliwkami, *kwasówką* z grzybami, kłus-

kami, znów grochem (ale już bez kapusty), wreszcie pierogami. Stary zabobon każe przy tym patrzeć czy podłożony pod miskę opłatek przykleił się do niej, czy nie – aby wiedzieć na co będzie urodzaj oraz na to, ile kto rzuca cieni, co ponoć wskazywało długość życia. Łemkowie z kolei wróżyli sobie z dymu ze zgaszonej świecy, który wieszczęć miał wesele lub pogrzeb. U Polaków wesele zapowiadało (lub nie) wróżenie ze źdźbeł słomy, a kawalera wskazywała kolejność wychodzenia z kościoła po pasterce. Nieprzemysłane wyjście ze świątyni bywało więc wieke ryzykowne...

Z Bożym Narodzeniem wiązało się oczywiście śpiewanie kolęd. Warto szczególnie wspomnieć o jednej iwonickiej kolędzie, napisanej ongiś przez miejscowego organistę:

*Gospodarze mili, dzisiaj w nocy chwili,
Pan Bóg z nieba zesłany,
Z Panny narodzony, w żłobku położony,
Ach, cud to niesłychany!
Pódźmy mu oddaj wszyscy chwałę,
Witajmy to dzieciątko małe,
Boć to jest Pan nad Pany.*

*Naprzód my z Iwończa, od dolnego końca,
Pospieszajmy z darami:
Rajchel zpod kościoła, niech drugich zawoła,
Co z dobrymi garłami.
A potym jak z góry, tak z dołu,
Niech jidą wszyscy wraz pospołu,
Nie z próżnymi torbami.*

*Jaroń, Jakubowicz, Kennar, Józefowicz,
Telesz, Rygiel z Prugarem.
Barud, Matelnowski, Smarecki, Turowski,
Gładysz, Pyter z Kielarem [...].*

Zadziwiająca kolęda wymieniała wszystkich lub prawie wszystkich iwonickich gospodarzy (!). Nic dziwnego, że od czasów organisty Stanisławskiego do 1945 r. zmieniano ją – wraz ze zmianami we wsi – co najmniej sześciokrotnie...

*[...] A cóż to za hultaje!
Bystrzycki, Sip z Dyręngiem i Loś,
Rodzinka także z nimi dziś właz,
Zygmunt ich powyduje.*

*Gazda i Rajchlicki, dla tej dziecineczki,
Niech jidą ze skrzypcami.
Matusz Józefowicz, Szubrowi też powiedz,
Niech jidą z cymbałami.
Zagrajcie Panu wszyscy wdzięcznie,
A on was za to w niebie wiecznie
Umieści z aniołami.*

Sam dzień Bożego Narodzenia był naturalnie wesoły, ale radość u stóp Beskidu była raczej powściągliwa. Jak w większości regionów spędzano ten dzień w domowych pieleszach, aby w odwiedziny wyruszyć dopiero nazajutrz. Tymczasem po podłodze wałała się wigilijna słoma, której w tak wielkie święto sprzątać nie wypadało.

Za to drugi dzień świąt był już czasem radości niczym nie ograniczonej. Rzucanie się owsem, odwiedziny i wróżenie z opadów śniegu – oto uroki dnia świętego Szczepana. Można też było sprawdzić, czy młode dziewczyny uprzątnęły już słomę z podłogi, co przegranego w tej grze na „sprawdzenie” może kosztować obowiązek poczęstowania wszystkich trunkiem, ale za „przytapanie” czeka nagroda...

Tymczasem łemkowskie *Rusnaki* spędzały ten dzień (oczywiście, przypadający w nieco innym terminie) bardziej pracowicie, zajęci obwiązywaniem wigilijną słomą drzew w sadzie.

W kolejny dzień, poświęcony świętemu Janowi, podiwonicka ludność polska z większym zapewne niż kiedykolwiek entuzjazmem udawała się do kościoła, aby poświęcić wino, które pomagać miało na bóle zębów i gardła. A zimą przecież tak łatwo się przeziębić...

Nowy Rok u iwonickich wód witały przede wszystkim dzieci, chżyżo biegające po zagrodach za *szczodrokami*.

*Piekiłście tu szczodroki, bochnoki, powiadali nom
Daliście ich innym, dajcie też i nam:
Jak nie dacie szczodroków, bochnoków dajcie chleba krom,
Zapłaci wom Pan Bóg z nieba i ten święty Jan.*

Nagrodą za śpiew były brzęczące monety i chrupiące pajdy chleba. Świeży beskidzki *bochnok* dawał siły do dalszego śpiewania:

*Niech tu Jezus i Marya w tym domie przebywa,
Niech tu temu gospodarstwu wszystkiego przybywa.
Dziękujemy, dziękujemy Boskiej Opatrzności,
Żeście nom dali kolędę ze swojej szczeroci.*

Ale parobcy, wędrujący za *szczodrokami* dla żartu i na brak nagrody mieli stosowną odpowiedź...

*Rośnij kąkol, stokłosa,
Urwij babie półnosa,
Dziadowi pół dupy,
By wyleciał na wirzch chałupy!*

Gdy w Nowy Rok Polacy myli ręce wodą ze... srebrnymi monetami, Łemkowie oddawali się wróżbom co do urodzaju lnu i konopi. Noworoczny dzień rozpoczynał także *tournée* po wsi grup kolędniczych, barwnych, ale typowych dla prawie całej Polski. A więc gwiazda, szopka, muzykanci i kłapiący szczęką turoń...

*Chodź turoniu do domu,
Nie zastępuj nikomu,
Boś się tu nie uchował,
Nie będziesz tu nocował.*

Wspomnijmy też o podiwonickiej szopce, w której tańczyły poruszane na kijach lalki. Pary *panów*, mieszczan, chłopów, Żydów oraz czarownica z diabłem żwawo przemylkali przed oczami widzów w rytm miejscowych tańców, a przy każdym kolejnym duecie śpiewana była inna piosenka. Najbliższa sercu ludu Beskidu Niskiego była naturalnie para chłopska.

*Pod gaikiem pod zielonym
Zieleni się trawka,
Tam pasterze paśli woły,
Jedli kaszę z gornka.*

W dniu Trzech Króli święcono kadzidło, mirrę, drobne monety i kredę, którą wypisywano na drzwiach rzekome inicjały mędrców ze Wschodu wraz z datą. Powszechnie pijano też wodę święconą. Służba natomiast wypoczywała u rodziny gospodarzy, a gdy decydowała się pozostać u dotychczasowego zwierzchnika, nowy etap pracy także rozpoczęła od wieczornej sjesty.

Natomiast w święto Matki Boskiej Gromnicznej – gdy milkną kolędy – wrócono z pogody i święcono gromnice, aby nadal strzegły domostwa w czasie burzy. Nazajutrz, ►

w uroczystość świętego Błażeja święcono jabłka i gruszki, a dwa dni później - zanosząc modły do świętej Agaty - wodę, chleb i sól.

Oczywiście od Bożego Narodzenia po środę popielcową trwają zapusty (choć najściślej rzecz ujmując, mianem tym określać winniśmy jedynie ostatnie dwa tygodnie omawianego okresu), a ostatnie dni przed Popielcem to *dni szalone*, dni muzyki i tańców, dni ucztowania i wódki. Nienadarmo iwoniccy gospodarze śpiewali ongiś:

*Nie mosz ci nic najmilszego nad zapust kochany,
Rozweseli on każdego, choćby był stroskany.*

*Hoc zapusty, hoc wesoło, nuże dalej, nuże w koło,
Hoc w kloc, sturk purk, szdzęk brzęk, brzmij wesoło!*

*Gospodarze mówią sobie: Chodźmy do karczmyska,
Już my długi wypłacili, do nom gorzałczyska.*

Hoc zapusty...

*Parobcy się też zmówili: Chodźmy razem z nimi,
Będzie dosyć wesołości, a mało w kieszeni.*

Hoc zapusty...

*Pogoniacze mówią sobie: Razem my robili,
Pójdźmy i my też do karczmy, choć nas nie prosili.*

Hoc zapusty...

*Gospodynie stary zwyczaj w karczmie odprawują,
Suche serki i gomółki w kieszenie pakują.*

Hoc zapusty...

*Panna też jako tako pociągnąwszy smyka,
Na gorzałkę się krzywi, a dobrze ją tyka.*

Hoc zapusty...

*Organista na zapustach pochwaliwszy Boga,
Napije się dobrej wódki i przeje pieroga.*

Hoc zapusty...

*Szlachta w domu albo w mieście odprawia reduty,
Jedzą, piją i tańczą: to zamiast pokuty.*

Hoc zapusty...

*I dziad z babą pilno spieszą zapomniawszy nędzy,
Rozwiązują swe węzłki z jałmużnych pieniędzy.*

Hoc zapusty...

*Śzewcy też na ucho sobie pochyliwszy czapki,
Spieszą pilno do karczmyska na ludzkie okapki.*

Hoc zapusty...

Ciekawe skądinąd, że uczony proboszcz z Szebniów, ksiądz Władysław Sarna, w swoim monumentalnym i zadziwiającym dziele o regionie zapomniał o jednej zwrotce:

*Ksiądz zakonny albo świecki żyje z Bogiem spólnie,
Choć ostrożnie i uważnie, przecie i on golnie.*

Ale najweselsze dni potrafiły być i niebezpieczne, wobec rosnącej aktywności diabłów. Harczą one na tanecznych zabawach nie gorzej od biesiadników, a można je nawet zobaczyć, korzystając z dziury w chuście starej kobiety, wykonanej sęką z trumny. Należy jednak być ostrożnym, bowiem jeden z iwonicznych parobków został ongiś przez „rogacza” przyłapaný na takim „podglądaniu” i zmarł wskutek podrapania piekielnymi pazurami...

Jak wszędzie w Polsce, muzyka u iwonicznych i rymano-wskich wód milkła w Popielec, aby znów przemówić do beskidzkich wierchów w czasie Wielkanocy. Środa popielcowa wyznaczała kres cyklu obrzędowości zimowej. Okresu barwnych rytuałów, wesołych kolęd i nie mniej wesołych – choć mniej pobożnych – pieśni zapustowych. Okresu wieczery wigilijnej, Bożego Narodzenia, noworocznych *szczudroków*, szopek i pochodów kolędniczych. Okresu tańca i muzyki. Ale przecież po czterdziestodniowym poście wesołe nuty znów powrócą w krainę Rajchela, Jaronia, Jakubowicza, Kennara, Józefowicza, Telesza...

Źródła pieśni i literatura:

J. Michałak, *Iwonicz-Zdrój i okolice. Nie tylko przewodnik* [oj, nie tylko!!!], Iwonicz 1995

W. Sarna, *Opis powiatu krośnieńskiego pod względem geograficzno-historycznym*, Przemyśl 1898, reprint – Krosno 2003



Cerkiew w Łopience – drugie życie

Swego czasu, a właściwie od XVIII wieku do momentu wysiedleń, Łopienka była najbardziej znanym sanktuarium kultu maryjnego w Zachodnich Bieszczadach.

Marta i Józef Haduch

Dotarliśmy tam wprawdzie dość szeroko, ale błotnistą drogą leśną, przy której licznie biją źródelka – trzy kilometry od parkingu, gdzie widnieje zakaz wjazdu ignorowany przez niektórych zajeżdżających z fasonem samochodem pod cerkiew. Po drodze można spotkać piece przygotowane do wypalania węgla drzewnego. Turyści idą licznie, dla niektórych (i dla nas) celem jest tylko cerkiewka, inni nie zatrzymując się dłużej, podążają dalej szlakiem na Łopiennik. Ci którzy przyszli tu docelowo czytają tablicę informacyjną, robią zdjęcia, przysiadają na ławeczce przed cerkwią...

Pierwsze spojrzenie na cerkiewkę, jeszcze z drogi, zbudowaną z nieobrobionego kamienia – jest to jedyny tego typu obiekt w Bieszczadach. Przed cerkiewnym placem widzimy jeszcze dwie budowle: odtworzoną drewnianą dzwonicę oraz odbudowaną kamienną kaplicę grobową. Kaplica grobowa zbudowana w drugiej połowie XIX w. – odbudowana została w latach 1993-1997 z inicjatywy Akademickiego Klubu Turystycznego przy SGGW w Warszawie przy udziale Komisji Cerkiewnej Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i Towarzystwa Karpackiego. Przed kaplicą przysiadła pani sprzedająca karty – cegielki na odbudowę cerkiewki. Dalej na polanie konie i dwóch mężczyzn. Jak się okazuje, jednym z nich jest Zbigniew Kaszuba, a pani sprzedająca cegielki to jego żona. Kim są? Zapewne, gdyby nie Kaszuba, dziś tak licznie turyści nie wędrowaliby dolinką Łopienki, by oglądać cerkiew. A zaczęło się blisko 20 lat temu, bo już tyle lat życia Kaszuba poświęcił temu miejscu i odbudowie cerkwi.

Dziś już nie ma wsi pod nazwą Łopienka położonej nad dopływem Solinki na zboczach Korbani, Jam i Łopiennika, założonej około 1543 roku na prawie wołoskim, w dobrach Bałów z Hoczwi. Łopienka do 1770 roku należała do Bałów, jednak po śmierci Salomei Karsznickiej, Łopienkę sprzedał jej syn – Piotr Karsznicki. Potem wieś przechodziła z „rąk do rąk”: jej właścicielami byli m.in. Strzeleccy, a początkiem XX w. przeszła w ręce rodziny Wichańskich

i tak zostało do 1939 roku. Po drugiej wojnie światowej Łopienka podzieliła losy innych bieszczadzkich wiosek. W 1946 r. mieszkańcy zostali wysiedleni do ZSRR, a rok później pozostających, w ramach tzw. „Akcji Wisła”, przesiedlono na Ziemię Odzyskane. Wieś znana była z tego, iż podobno ukazała się tu Matka Boska pod postacią ikony. Ikonę umieszczono w kapliczce, potem w cerkwi. A cerkiew w Łopience powstała w 1757 roku, fundatorami była rodzina Strzeleckich (ówczesni właściciele wsi). Patronką świątyni została święta Paraskewia – grecka męczennica, opiekunka



młodych dziewcząt i ogniska domowego. Z czasem Łopienka stała się słynnym ośrodkiem kultu maryjnego. Cudowny obraz przyciągał do Łopienki, niewielkiej wsi, (która liczyła w 1921 roku łącznie 303 mieszkańców, w tym 289 grekokatolików, 6 rzymskich katolików i 8 wyznania mojżeszowego), rzesze wiernych, nawet z bardzo odległych stron. Swego czasu, a właściwie od XVIII wieku do momentu wysiedleń Łopienka była najbardziej znanym sanktuarium kultu maryjnego w Zachodnich Bieszczadach. Na odpust 13 lipca (Wniebowstąpienie Najświętszej Marii Panny), jeszcze w XIX wieku przychodziło kilkanaście tysięcy wiernych – nie tylko Rusinów, ale też mieszkańców północnych stoków Karpat, Pogórzanie zza Wisłoki, a nawet Górale Śląscy. By rozłożyć swe kramy z różnymi towarami, przyjeżdżali tu nawet Żydzi z odległego przecież Krakowa. Ostatni odpust odbył się tu w 1943 roku.

Po 1947 roku przestała istnieć wieś, a cerkiew popadała w ruinę. Rozebrano dach i skradziono blachę. Mury pozbawione ochrony niszczały. Cudowny obraz został przeniesiony do Polańczyka i jest tam do dzisiaj (w odbudowanej cerkwi znajduje się jego kopia). Kiedy w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku trafił tu Olgierd Łotoczko (konserwator zabytków w powiecie bieszczadzkim) trzeba było podejmować szybkie decyzje, by uratować tak unikatowy obiekt. Łotoczko został zwolniony ze stanowiska, ale nie przestał być orędownikiem odbudowy cerkiewki. W 1972 r. udało mu się wzmocnić koronę murów cerkwi betonową opaską. Niestety zginął w 1976 r. w czasie wyprawy w Hindukusz Afgański, dlatego prace renowacyjne zostały zatrzymane. W 1983 r. do Łopienki zawędrował kolejny pasjonat – Zbigniew Kaszuba i dzięki niemu rozpoczyna się kolejny etap odbudowy obiektu. W 1990 r. Społeczna Komisja Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej, dzięki staraniom Zbyszka Kaszuby uzyskuje pozwolenie na rekonstrukcję cerkwi. Rozpoczyna się remont. Jest on prowadzony systemem gospodarczym i wiele prac wykonywanych jest społecznie. Zostały wzmocnione mury, postawiony i pokryty blachą dach, wstawione drzwi i okna, a wewnątrz wylana betonowa posadzka i położona podsufitka. Prace były finansowane z dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki, niestety w 1995 r. dotacja została wstrzymana, a prace przerwane. Do zakończenia remontu pozostało tynkowanie cerkwi, rekonstrukcja chóru i wykonanie kamiennej posadzki. Latem w 2003 roku cerkiew w Łopience otynkowano. Tak najkrócej można by opisać to, co się wydarzyło.

Dla wielu osób taka informacja będzie wystarczająca, ale tym, którzy chcieliby rozszyfrować, co może się kryć pod tym faktem i dowiedzieć się, jak do tego doszło, dedykuję tekst: <http://karpaccy.pl/znowu-o-lopience-plaj-27/>. Pan Zbigniew Kaszuba jest człowiekiem niezwykle skromnym, chętnie z nami porozmawiał ale nie zgodził się na zrobienie mu zdjęcia. Do fotografii pozowała jego małżonka.

Refleksje nad ziemią górką

Pod pozorem walki z kornikiem i przebudowy drzewostanów wycina się lasy na potęgę.

Barbara Morawska-Nowak (fot. Anna Puzio)

Ucieszył mnie reportaż Piotra Subika: „Sielanka o krowach” w piątkowym magazynie „Dziennika Polskiego” z 12 sierpnia br. Zarazem przywołał wspomnienia sprzed lat, gdy będąc na wakacjach w Krempnej (Beskid Niski), bodaj w 1982 roku, penetrowaliśmy z mężem okolice. Wtedy też dotarliśmy do Nieznajowej, a raczej do opuszczonych terenów po tej miejscowości spotykając tam górali podhalańskich wypasających owce. A teraz czytam, że Stowarzyszenie Rozwoju Sołectwa Krzywe wydzierżawiło dolinę Nieznajowej i Sprowadziło tam stado krów na wypas, które żrąc trawę wypełniają wymóg koszenia. Za utrzymywanie można pozyskać fundusze unijne. W ten sposób Stowarzyszenie mogło pozyskać dotacje i przeznaczyć je na zorganizowanie różnorodnych zajęć dla dzieci zamieszkałych w sołectwie. To świetny pomysł, wszak najlepiej z zarośniętą łąką uporać się roślinożercy. Polany beskidzkie przed zarastaniem mogą ochronić pasące się na nich zwierzęta.

W pierwszej połowie lipca przebywałam w małym przysiółku Dziaski na stoku Suchoj Góry, położonym ok. 250 m nad Rajczą. Stoi tam piękna, stara chata, którą kupili 30 lat temu moi przyjaciele z Katowic, a teraz użyczyli mi jej na wakacje rodzinne z wnukami.

Siedząc na przyzbie miałam rozległy widok na Beskid Żywiecki z kulminującym Muńcułem naprzeciw. Nie widać już prawie pól uprawnych, wszędzie zarośnięte łąki, których nikt nie kosi. W przysiółku tylko jedna rodzina prowadzi gospodarstwo, kosi i zwozi siano, uprawia ziemniaki, pasie się jedna krowa, jest jeden koń. Trzy lata temu na górę można było wyjechać tylko terenowym autem. Obecnie położono na drodze płyty i da się wyjechać pod sam dom, zwiększył się ruch samochodowy, na szczęście tylko dojazdowy – do kościoła, na zakupy itp. Przestano za to chodzić do lasu. Wybrałam się kiedyś w górę, aby zobaczyć jak to wygląda. Drogi leśne to głębokie koleiny po ściąganiu drzewa, dalej wszystko zarośnięte i trzeba się było przedzierać przez gąszcz i przez wysokie trawy. Panował za to urodzaj na żmije, spotykałyśmy je kilkakrotnie w czasie spacerów.

Pod pozorem walki z kornikiem i przebudowy drzewostanów wycina się lasy na potęgę. Odwiedziłam z córką Bacę na Młodej Horze, idąc doliną Danielki patrzyłam na przetrzebione zbocza. Postanowiłam wracać przez Hutyrów. Bardzo lubię tę wznoszącą się drogę z coraz wyżej położonymi chatkami zanim wejdziesz w las na szczycie



Młodej Hory. Dalej zaczął się horror. Droga zryta głębokimi koleinami od ciężkich maszyn zwożących drzewo, w koleinach błoto. Męcząca to była wędrówka, znaki gdzieś się zgubiły, ale wreszcie zeszyliśmy do Rycerki Dolnej przechodząc na koniec w bród rzekę. Na dole Rajcza coraz gęściej zabudowana, trudno już nazwać ją wsią, podobnie jak inne miejscowości za Żywcem – Węgierską Górkę, Miłówkę... Coraz mniej ludzi na wsi zajmuje się rolnictwem i hodowlą, rosna za to przy drogach koszarne magazyny... I tak brzydą krajobrazy górskie...

Z zainteresowaniem przeczytałam w „Tatrach” wywiad z Janem Antołem o usunięciu owiec i pasterstwa z Tatr w 1960 roku i ich powrocie w Tatry po przeszło 20 latach w formie tzw. wypasu kulturowego. Dawno już stwierdzono pożyteczną rolę owiec jako naturalnych kosiarek przeciwdziałających zarastaniu łąk, na czym cierpi ich bioróżnorodność. Dobrze więc, że mamy ten kontrolowany wypas w Tatrach. Są jeszcze hale i polany żywieckiego Parku Krajobrazowego, na których wypasu dawno już zaprzestano. Czy nie warto wypasać owce i krowy na opuszczonych łąkach i polach? Dziś widok krowy na wsi to już rzadkość.

Na świecie miliony umierają z głodu... Dlaczego tyle ziemi leży odłogiem, można by wyprodukowaną żywnością wykarmić siebie i innych. Dlaczego nie rozwija się hodowli?

Czy tak ma wyglądać rozwój obszarów wiejskich?



widok na Rajczę

Pustynia Błędowska znów pustynią?

Pustynia Błędowska stanowi unikatowy ekosystem w skali europejskiej.

Krzysztof Florys

W 2011 r. rozpoczęła się realizacja projektu unijnego, koordynowanego przez Gminę Klucze, dzięki któremu porośnięta w dużej części lasem, położona na granicy Małopolski i Śląska Pustynia Błędowska odzyska swój pierwotny charakter. Stanie się tak dzięki m.in. dzięki karczowaniu obcych dla pustyni drzew, zagajników rzadkich i gęstych rozproszonych zarośli.

Projekt pt. „Czynna ochrona kompleksu priorytetowych siedlisk napiaskowych w obszarze Natura 2000 na Pustyni Błędowskiej”, współfinansowany jest przez Wspólnotę Europejską w ramach Instrumentu Finansowego LIFE+ (50% kosztów) oraz Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (45%). Wkład Gminy Klucze to 5% całkowitego budżetu projektu wynoszącego 2 594 996 EURO (9 082 486 zł).

Celem projektu jest osiągnięcie właściwego stanu ochrony największego w Polsce kompleksu dwóch napiaskowych siedlisk przyrodniczych: ciepłolubnych muraw i wydm śródlądowych, wymienionych w załączniku I Dyrektywy Siedliskowej.

Pustynia Błędowska stanowi unikatowy ekosystem w skali europejskiej. Jest największym w Europie Środkowej zwartym, śródlądowym obszarem występowania piasków wydmowych z interesującymi formami geomorfologicznymi typowymi dla krajobrazu pustynnego, licznymi rzadkimi i chronionymi gatunkami flory i fauny oraz zbiorowiskami muraw piaskowych. Najistotniejsze przedmioty ochrony w omawianym obszarze NATURA 2000 to dwa siedliska napiaskowe: 2330 – wydmy śródlądowe z murawami napiaskowymi oraz priorytetowe 6120 – ciepłolubne, śródlądowe murawy napiaskowe (*Koelerion glaucae*).

Najistotniejszym i właściwie jedynym bezpośrednim zagrożeniem dla ochrony siedlisk napiaskowych na terenie Pustyni Błędowskiej jest sukcesja naturalna, czyli w tym przypadku zarastanie otwartych terenów luźnych piasków i muraw napiaskowych przez sosnę zwyczajną, brzozę brodawkowatą i sztucznie wprowadzone gatunki wierzby - wierzbę piaskową oraz wierzbę ostrolistną (kaspiską). Część południowa pustyni jest

już niemal całkowicie zarośnięta. Porównanie map z 1958 roku i aktualnych zdjęć lotniczych wskazuje, że renaturyzacji można poddać na terenie całego obszaru Natura 2000 480 ha stopniowo zarastających siedlisk napiaskowych. Problem ten zostanie rozwiązany przez usuwanie drzew i krzewów na powierzchni 300 ha. Na pozostałej powierzchni 180 ha będzie prowadzony monitoring procesu sukcesji wtórnej, czyli zostanie ten teren pozostawiony jako powierzchnie kontrolne do badań naukowych i monitoringowych, co umożliwi kompleksową analizę dynamiki roślinności i zmian bioróżnorodności.

W raporcie o stanie siedlisk przyrodniczych w polskiej części regionu kontynentalnego, opracowanym przez Ministerstwo Środowiska w roku 2007, stan zachowania tych dwóch siedlisk przyrodniczych został oceniony na U2 (zły). Oznacza to, że należy podjąć natychmiastowe działania w celu zachowania tych siedlisk w naszym kraju poprzez pilne wdrożenie działań ochronnych w ramach sieci Natura 2000.

Zasoby tych siedlisk w obszarze Natura 2000 „Pustynia Błędowska”, gdzie będą prowadzone prace renaturyzacyjne obejmują odpowiednio – dla 6120: 6,3%, natomiast dla 2330: 3,9% całych polskich zasobów chronionych w sieci Natura 2000. Pod względem całkowitej powierzchni priorytetowych muraw napiaskowych Pustynia Błędowska znajduje się na trzecim miejscu wśród polskich specjalnych obszarów ochrony siedlisk, natomiast ze względu na ochronę wydm śródlądowych – na piątym. Spośród tych obszarów Pustynia Błędowska jest niewątpliwie najbardziej znanym i spektakularnym polskim przykładem wytworzenia się ekosystemów napiaskowych.

Demonstracyjne wdrożenie aktywnej ochrony Pustyni umożliwi znaczną poprawę stanu tych siedlisk w Polsce zarówno poprzez uzyskanie bezpośredniego efektu ekologicznego w tym obszarze Natura 2000, jak i przetestowanie oraz rozpowszechnienie dobrych praktyk takiej ochrony w innych, podobnych obszarach w całej Polsce i Europie.

W czasie realizacji projektu do końca listopada 2014 r. zaplanowane są nastę-

pujące działania:

- przygotowanie terenu do wprowadzenia zabiegów ochrony czynnej – wykrywanie występowania niewypałów i niewybuchów;
- inwentaryzacja przyrodnicza i ekspertyzy naukowe;
- czynna ochrona siedlisk napiaskowych, czyli ręczne lub mechaniczne karczowanie drzew, zagajników rzadkich i gęstych rozproszonych zarośli wraz z wywiezieniem drewna i oczyszczeniem terenu;
- wykonanie i prowadzenie strony internetowej projektu;
- organizacja konferencji międzynarodowej;
- organizacja serii warsztatów;
- opracowanie, edycja i publikacja podręcznika ochrony siedlisk napiaskowych;
- utworzenie Pustynnego Centrum Informacji;
- utworzenie dwóch ścieżek edukacyjnych wraz ze stanowiskami demonstracyjnymi;
- monitoring przyrodniczy oraz monitoring skuteczności prowadzonych działań ochrony aktywnej.

Liczymy, że działania projektowe zwiększą atrakcyjność turystyczną Pustyni Błędowskiej, która stanie się częstszym punktem w planie podróży, po drodze w góry.

Więcej informacji można znaleźć na stronie <http://life.gmina-klucze.pl>



Szkolenie znakarzy za nami

W dniach 2-4 września 2011 r. w Jamnej odbyło się pierwsze w historii reaktywowanego PTT szkolenie znakarzy szlaków pieszych i rowerowych.

Szymon Baron (zdjęcia: Małgorzata Poręba, Jerzy Zieliński)

Większość z nas, uczestników szkolenia, musiała wziąć urlop na piątek, aby uczestniczyć w wielkiej niewiadomej, jaką było szkolenie znakarzy szlaków pieszych i rowerowych, organizowane przez Komisję ds. szlaków przy ZG PTT i Oddział PTT w Tarnowie.

Szkolenie składało się z dwóch części: teoretycznej i praktycznej. W pięknym miejscu, nieopodal Bacówki poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Jamnej, jedenastu uczestników szkolenia, reprezentujących oddziały PTT z Bielska-Białej, Dębłina, Nowego Sącza, Ostrzeszowa i Tarnowa, wysłuchało niezwykle ciekawych wykładów, okraszonych pokazami multimedialnymi, prezentacją narzędzi, szablonów, przykładowych drogowskazów i tabliczek. Zapewne nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jak dokładnie to wszystko wygląda od kuchni. Gdy doszły do tego opowieści z życia, czyli jak nie należy znakować, gdzie łatwo popełnić błąd, a także w jaki sposób poprawić fatalnie namalowany znak, wówczas już nikt nie miał wątpliwości, że bardzo poży-



tecnie spędzamy tu czas.

Drugi dzień szkolenia to zajęcia w terenie. Każdy z nas miał okazję doświadczyć typowej pracy znakarza, w której obok wytyczania nowych, wchodzi przecież konserwacja istniejących szlaków, luzowanie na umieszczonych na drzewach tabliczek (wszak drzewo z roku na rok jest coraz większe), oczyszczenie terenu, aby znak był widoczny, czy w końcu poprawianie zniszczonych znaków. A wszystko to przebiegało w wyjątkowo sympatycznej atmosferze.

Pod wieczór odbył się zapowiadany egzamin, a choć łatwo nie było, wszyscy bez problemu zaliczyli go z wynikiem pozytywnym. Przewodniczący Komisji ds. szlaków przy ZG PTT, Jerzy Piotr Krakowski, wręczył zaświadczenia o ukończeniu kursu i tym samym nasze Towarzystwo wzbogaciło się o kolejnych jedenastu znakarzy.

Relacja ze szkolenia nie byłaby pełna, gdybym nie napisał o zorganizowanym wieczorem ognisku, przy którym siedzieliśmy do późnej nocy rozmawiając na tematy wszelakie, a także fankie, że będąc ze mną córeczki: Anielka



i Zosia, dzięki uprzejmości naszych wykładowców, miały okazję namalować swój pierwszy w życiu biało-żółto-biały znak na szlaku.

Jeśli w bliższej, bądź nieco dalszej przyszłości udałoby się zorganizować kolejny kurs znakarski, będę gorąco wszystkich zachęcał do udziału w nim – naprawdę warto!



WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
REDAKCJA: SZYMON BARON, MARCIN KOLONKO, BARBARA MORAWSKA-NOWAK
SKŁAD : SZYMON BARON

ADRES REDAKCJI: UL. KONARSKIEGO 21/5, 30-049 KRAKÓW ♦ E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL ♦ TEL.: 12 634-05-89
WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE: [HTTP://WWW.PTT.ORG.PL/](http://WWW.PTT.ORG.PL/)